

**Tytuł: „Od deski do deski - 44 lata życia w Polskiej Rzeczpospolitej Ludowej”
- historia profesora Waclawa Leszczyńskiego**

W poniższej pracy pragnę zrelacjonować losy Pana Profesora Waclawa Leszczyńskiego, człowieka, który urodził się przed podstępłą napaścią III Rzeszy na Polskę. Przeżył cały okres II wojny światowej, okupację niemiecką a następnie okupację sowiecką. Przetrwiał także rok 1989, a teraz dzieli się swoimi przeżyciami, z ludźmi, którzy na szczęście nie musieli doświadczyć ich na własnej skórze. Możliwość przeprowadzenia tego wywiadu była dla mnie wielkim zaszczytem oraz przyjemnością.

Karol Król: Dzień dobry, Panie Profesorze. Na wstępie chciałbym podziękować za to, że zgodził się Pan na tę rozmowę. Na początek chciałbym zapytać jak i gdzie przeżył Pan wojnę?

Profesor Waclaw Leszczyński: Dzień dobry. Wojnę przeżyłem przede wszystkim w Warszawie. W roku '44 uczęszczałem na tajny komplet drugiej klasy szkoły powszechnej, obecnie nazywa się to szkołą podstawową. Po jego ukończeniu wyjechałem na wakacje pod Warszawę, do Milanówka. Tam nas zastało powstanie. Szczęśliwie moja babcia, która wierzyła w znaki, uznała, że takowy się wydarzył. Ujrzała na niebie krążący samolot, który zostawił za sobą smugę kondensacyjną, co w tamtych czasach



*Jadwiga Leszczyńska,
z domu Manduk
(mama Pana Waclawa)
na początku wojny*

nie było codziennością. Dosłownie w przeddzień wybuchu, 31 lipca, pojechała do Warszawy i przywozła nasze zimowe płaszcze, dzięki czemu przeżyliśmy zimę. Zostaliśmy jednak bez grosza, wszystkie pieniądze zostały u dziadka, w stolicy. Niemcy zamordowali go i wszystko ukradli. W tym właśnie okresie zaczęło mną - kolokwialnie mówiąc - rzucać po Polsce. Znalazłem się na wsi, na Podhalu, w Koniówce (między Podczerwonem a Chochołowem) gdzie naprzód górali ograbili Niemcy, a następnie Rosjanie, więc niczego tam nie było.

Babcia szła do sołtysa, sołtys drapał się po głowie, następnie dawał babci karteczkę i mówił „To Pani pójdzie do Felka, to on da Pani trochę kartofli.” I babcia dostawała trochę kartofli, wracała do nas. Mama wtedy była uwięziona w Oświęcimiu

(Auschwitz-Birkenau), a ojciec, jak się później okazało walczył w armii generała Andersa. To właśnie babcia zajmowała i opiekowała się mną oraz moim 3 lata starszym bratem. O tych kartoflach mówiła: „No widzicie, nie ma głodu, są kartofle. Chleba powszedniego daj nam dzisiaj, no i dzisiaj dostaliśmy kartofle.” I tak było przez 2 miesiące. Potem szczęśliwie trafiliśmy do dalszej rodziny, do Zakopanego i tam znalazła nas moja matka. Byłem wtedy po ciężkiej chorobie, ale mogłem już wychodzić na balkonik. Usłyszałem jakiś głos pytający o moją babcie, wyjrzałem, popatrzyłem, stała jakaś kobieta z rozwichrzonymi siwymi włosami, czerwona na twarzy. Mówię wtedy: „Babciu, jakaś pani do ciebie”.



*Jadwiga Leszczyńska,
z domu Manduk
(mama Pana Waclawa)
w roku 1945*

A to była moja matka. Ja mamy nie poznałem, jak ją gestapo wzięło to miałem 6 lat, a teraz miałem 9, więc zapamiętałem ją zupełnie inaczej – jako elegancką, w brązowym kostiumie, z brązowymi włosami, a tu przyszła taka dziwna, inna. Ponieważ matka była nauczycielką, dostała pracę na Opolszczyźnie, w miejscowości o nazwie Pokój, która była spalona, zniszczona pod koniec wojny przez pijanych rosyjskich żołnierzy. Zamordowali wtedy 106 osób. Matka została tam kierowniczką szkoły, mając 155 dzieci, z czego tylko 10 umiało po polsku. Kilkoro jeszcze coś tam rozumiało, ale mówić już nie potrafiło. W taki oto sposób znalazłem się na Śląsku Opolskim.

K. K.: A jak wyglądały te pierwsze lata po wojnie? Czy uczęszczał Pan do szkoły?

Prof. W. L.: Po zakończeniu wojny nie uczęszczałem do szkoły. Mama dopiero uczyła te dzieci: „To jest lampa. To jest podłoga. To jest okno.”. Oczywiście po polsku i po niemiecku, by te dzieci coś rozumiały, dlatego ja nie musiałem do tej szkoły chodzić. Wobec tego siedziałem w domu i czytałem książki. Moja babcia i mama uważały, że należy dawać ludziom książki do czytania, gdyż w nich jest cała mądrość. Zwłaszcza chciały, aby książki czytali Ślązacy, którzy umieli czytać po polsku. Chodziło o to, że pokolenie mojej babci mówiło świetnie po polsku, pokolenie moich rodziców mówiło po polsku i po niemiecku, a moje pokolenie mówiło po niemiecku, ponieważ niebezpiecznie było uczyć dzieci polskiego.

Wobec tego mama całe pieniądze inwestowała w książki. W tym czasie w Opolu powstała powiatowa biblioteka, z której można było nieodpłatnie wypożyczać książki do gminnych bibliotek. Wobec tego mama założyła w naszym mieszkaniu pierwszą na Opolszczyźnie bibliotekę gminną. Raz w miesiącu przywoziła duży plecak pełen książek. I w ciągu tego miesiąca ja te książki zdążyłem przeczytać. Prócz tego przeglądałem też niemieckie książki. Wszystko było wyszabrowane prócz książek, obrazków, czy map. Nie umiałem po niemiecku, mimo to oglądałem w tych książkach obrazki, starałem się cokolwiek zrozumieć.

Na pierwszym miejscu upodobałem sobie jednak mapy. Na imieniny dostawałem właśnie atlasy, często po niemiecku. Od kiedy nauczyłem się czytać, siedziałem otoczony mapami i bez problemu mogłem wymienić wszystkie państwa świata wraz ze stolicami. Prócz tego to dużo chorowałem, byłem bardzo chorowitym dzieckiem. Lekarz, który przyjechał w '45 r., jesienią, po przebadaniu mnie powiedział mamie, że mu bardzo przykro, ale nie dożyję wiosny. Prawdopodobnie miałem gruźlicę, ale nie wiem co to było, zresztą nie miało to żadnego znaczenia, ponieważ lekarstw i tak nie było. Moja mama wzięła jednak sprawy we własne ręce, przygotowała mi na ceglach, z desek, taką „podłogę”, załatwiła skądś koszykowy leżak, siennik, na to mnie położyła, na mnie koce, a jak było zimno to jeszcze kożuch. Tak właśnie oporzędzony siedziałem na dworze, bo wtedy wierzono, że świeże powietrze leczy. Szczęśliwie przeżyłem tamtą zimę z '45 na '46. W '46 roku, przez wzgląd na moje zdrowie nadal nie poszedłem do szkoły, czego szczególnie nie żałowałem. Większość Niemców wyjechała, a na ich miejsce przyjechali ludzie z Kresów oraz z Syberii, zostali Ślązacy - Polacy. W '47 roku, po ośmiu latach, wrócił w końcu mój ojciec z Anglii, w mundurze andersowskim. Dopiero wtedy poszedłem do pierwszej komunii,



*Domek, w którym mieszkał
Pan Waclaw, w Pokoju
1945 rok*

czekaliśmy z tym na tatę i dopiero wtedy poszedłem do szkoły. Podkreślam tutaj, że byłem na poziomie drugiej klasy. Jeżeli chodzi o geografię, historię i przyrodę to byłem na wyższym poziomie. W fizyce jako tako również się odnajdowałem. Najgorzej było z matmą. Dlatego kolega, który przyjechał zza Uralu, który był dobry z rachunków, uczył mnie ich. Przełożyło się to również na to, że przez pierwszy miesiąc nie pytano mnie z nich. W pozostałych przedmiotach byłem wystarczająco dobry. Po powrocie ojca liczyliśmy na to, że wrócimy do Warszawy. Kiedy jednak moi rodzice pojechali tam, okazało się, że nie pasują do ówczesnej władzy. Ojciec był andersowcem, matka AK-owcem, kurierem Komendy Głównej Armii Krajowej. Takich ludzi nie wpuszczano do Warszawy. Ostatecznie tata otrzymał posadę kierownika Państwowego Zarządu Dróg Wodnych w Opolu, a mama zrezygnowała ze szkoły w Pokoju i została kierownikiem biblioteki miejskiej, również w Opolu. Ja tymczasem w tymże Pokoju zostałem, gdzie uczęszczałem do szóstej klasy. Czasami była ze mną babcia, czasami byłem całkiem sam. Nie wszystkie momenty wspominam mile. Cofając się jeszcze do '45 zdarzało się, że mama nocowała w Opolu, a babcia akurat przebywała w Warszawie i zostawałem sam w całym domu.

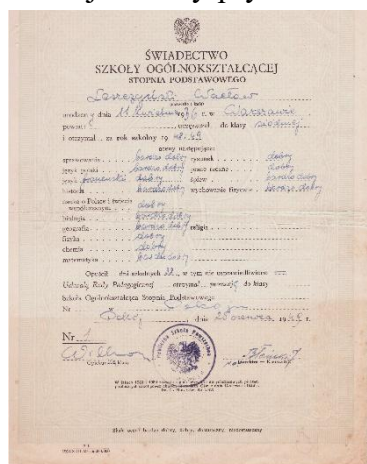
K. K.: Przepraszam, że przerwę, ale co się stało z Pana bratem?

Prof. W. L.: Brat w '45 przebywał w Krakowie u ciotki, a w '46 poszedł do gimnazjum, to jest do obecnego liceum do Opoła. Jak zostawałem sam w domu, było to całkiem nieprzyjemne, miałem 9, a potem 10 lat. Czasami zdarzało mi się wracać po ciemku do domu. Musiałem wtedy przejść obok dwóch spalonych domków, w jednym z nich Rosjanie wymordowali całą 4-osobową rodzinę i wrzucili do studni. Było to mało przyjemne, gwiazdy prześwitywały przez te wypalone okna, coś tam szmeralo, jakaś sowa pohukiwała. Szedłem wtedy po drugiej stronie drogi, bo to ciężko było nazwać ulicą i śpiewałem „Pod Twoją obronę”. Kiedyś, zanim przywrócono prąd, siedziałem przy świecy i czytałem. Nagle, ktoś zaczął pukać w okno. Momentalnie zgasilem świecę i padłem na podłogę, żeby jakby ktoś strzelał, to żebym był poza zasięgiem. Później się okazało, że był to pijany gajowy. To właśnie takie czasy były. Jak szedłeś drogą, to musiałeś uważać na samochody. Samochody tylko rosyjskie były i Rosjanie musieli każdego na widoku przejechać. Jeśli słyszałeś warkot silnika, to chowałeś się za drzewo, jeśli akurat jechałeś furmanką, to zjeżdżałeś na bok lub do rowu. Pewnego razu kobieta z dzieckiem szła pod wiatr, nie usłyszała nadjeżdżającego samochodu, no i ją przejechał. Wózek ciągnął ze sobą, aż do Krzywej Góry, to jakieś 6 kilometrów. Szczęśliwie dziecku nic się nie stało, wylądowało cało w rowie. To nie były miłe czasy. W lasach siedział Werwolf¹, myśmy widzieli jak ich krewniacy noszą żywność do lasu.

Po odejściu ze szkoły mamy został tam tylko jeden nauczyciel, spod Tarnopola, który uczył klasy starsze. Moja matka namówiła jednak jeszcze jedną panią z małą maturą, żonę zawiadowcy stacji kolejowej, która została otwarta w międzyczasie. Miała się ona zająć młodszymi klasami. Byłem w najstarszej klasie, w szóstej, która miała kilkunastu uczniów. W klasie piątej było dwadzieścia kilka osób. Problem polegał na tym, że zajęcia mieliśmy w jednej sali. Myśmy siedzieli pod oknem, oni w głębi klasy. Kiedy nauczyciel zadawał im jakieś zadanie to przerabiał język polski z nami i na odwrót. Po ukończeniu klasy szóstej oczywiście trafiłem do klasy siódmej, z tym że nie było już w niej religii, bo był zakaz. Wtedy obowiązek szkolny obowiązywał do lat szesnastu i wielu moich kolegów zrezygnowało z nauki. Po tej redukcji zostało nas dziewięć osób w klasie. Odeszła w tym

¹ Werwolf – niemiecka partyzantka na ziemiach utraconych przez III Rzesze po 1943 roku

czasie też żona zawiadowcy, ale na jej miejsce przysłała młoda nauczycielka, bezpośrednio po seminarium nauczycielskim. Mogła mieć 19, może 20 lat i mieszkała sama w szkole. Od samego początku wzięła się za nas, przepytowała nas dogłębnie i stwierdziła, że mamy straszne braki i że nie mamy szans dostać się do gimnazjum. Zaproponowała byśmy sami się doksztalcali. Wyzaczyła tak: ja byłem dobry z historii i geografii, więc ja byłem od historii i geografii, ten kolega z Syberii był od języka polskiego i matematyki, jedna z koleżanek była od biologii, reszty nie pamiętam. Z tym, że jeden z nas, syn malarza, stwierdził, że też będzie malarzem, jak ojciec i że mu wykształcenie potrzebne nie jest. Po normalnych lekcjach wracało się do domu na obiad i do szkoły znowu się szło na trzecią lub czwartą. Ja miałem do szkoły kilometr, to tam pół biedy, ale koleżanka Hania miała dwa i pół. Najlepiej pamiętam oczywiście zajęcia z historii. Kiedy się do nich szykowałem, to szukałem na strychu odpowiednich map, poniemieckich ma się rozumieć, które później rozwieszałem w klasie. Mówiłem różnie, godzinę, półtorej. Czasami schodziła do nas panna Wilkówna, ta nauczycielka, ale siadała w tylnej ławce i ani nie komentowała, ani poprawiała, ani nie chwaliła, ani nie ganiła. Siedziała i słuchała. W maju zamiast do szkoły, chodziliśmy do parku założonego w XVIII wieku i tam w towarzystwie pomnika lwa oraz białych rododendronów uczyliśmy się. Efekt tego nauczania był taki, że czworo z nas, czyli połowa ukończyła studia wyższe. Nie wiem, co się stało z jedną koleżanką, bo ona zaraz po klasie siódmej wyjechała z rodzicami, inna koleżanka, Tosia, również zrezygnowała z dalszej nauki, szybko wyszła za mąż. Posiadam do dzisiaj świadectwo, a w sumie to dwa - jedno ukończenia klasy siódmej, drugie ukończenia szkoły, już wtedy podstawowej. Niestety, nie było mnie jednak na zakończeniu szkoły, ponieważ przez ciągłe problemy z moim zdrowiem w czerwcu wysłano mnie do prewentorium w Otwocku. W roku '48 w Opolu odbyła się wystawa Ziemi Opolskiej, na której było można zobaczyć, jak dobrze się w ciągu tych kilku lat rozwinęliśmy. Funkcjonowały prywatne zakłady przemysłowe, rozwinął się handel. Wszystko było dobrze,



Świadectwo ukończenia VII klasy

i przeniosłem się do rodziców. Przez rok chodziłem do gimnazjum w Opolu. Mieliśmy bardzo dobrych nauczycieli. Jednym z najlepszych był nasz historyk. Wtedy, w klasie ósmej, czyli pierwszej gimnazjalnej, przerabiano się starożytność. Mieliśmy już nowe podręczniki, tłumaczone z rosyjskiego. Znajdował się tam między innymi „Mit o Chrystusie”. Pan profesor Szewczyk

do czasu. W '50 roku sprywatyzowano wszystkie zakłady. Przychodził facet do zakładu i dowiadywał się, że to już nie jest jego tylko należy do spółdzielni pracy. Wtedy zaczęła się bieda.

K. K.: Skończył Pan podstawówkę i poszedł Pan do gimnazjum, czyli obecnego liceum?

Prof. W. L.: Tak, zakończyłem swoją edukację w Pokoju



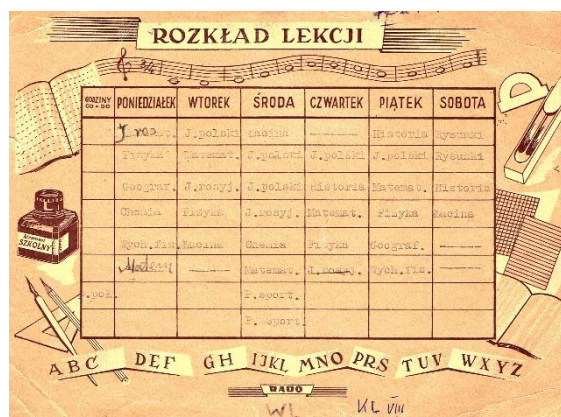
Świadectwo ukończenie szkoły podstawowej

powiedział wtedy tak: „Widzicie, tu jest napisane „Mit o Chrystusie”, bo to pisał Rosjanin, oni w Chrystusa nie wierzą. My, Polacy, to co innego.” W następnym roku już nie uczył w szkole, wyrzucili go.

Skończyłem ósmą klasę. Ojciec miał kierownicze stanowisko, więc mieszkaliśmy w pięknym mieszkaniu. Był tylko jeden problem - był andersowcem. Zaczęło się prześladowanie. Tatę zwolnili w pracy. Chcieli nawet zrobić jakiś proces, bo to było modne. Na szczęście dyrekcja wysłała go na budowę tamy w Brzegu Dolnym,

a później do Wrocławia. Tam pracował na bardzo niskich stanowiskach z bardzo niską płacą. Oczywiście reszta rodziny musiała się przenieść także z Opola do Wrocławia. Były tutaj dużo gorsze warunki mieszkaniowe. Tam mieliśmy kaloryfery, tutaj były piece, trzeba było starać się o węgiel, później go wrzucić do piwnicy, następnie wnieść na pierwsze piętro. Pieca nie było w kuchni, więc było tam zawsze zimno, w łazience był taki malutki, w którym paliło się tylko raz w tygodniu, w sobotę. Jak się rozpałiło, to woda była ciepła, jak nie, to woda w misce klozetowej zamarzała. W piecu się paliło, jak temperatura w pokoju rodziców spadała poniżej 15 stopni. Należało przecież oszczędzać.

Ja tymczasem trafiłem do liceum, które już po moim zapisaniu się zostało przemianowane na liceum TPD-owskie², czyli świeckie. To, że tam nie było religii to jest jasne. W niedziele, w ramach hasła „Miasto pomaga wsi” - i by nie puścić nas do kościoła - jeździliśmy do jakiejś spółdzielni, gdzie chłopcy zbierali buraki, a dziewczęta kukurydzę. Nie było możliwości nie pojechać. Poza tym w szkole mieliśmy piękne możliwości do urządzania zabaw, mieliśmy aulę z cudownym nagłośnieniem, salę gimnastyczną. Ale pan dyrektor nie robił zabaw. Wobec tego w dziesiątej klasie koleżanki pod pozorem andrzejek chciały zrobić prywatkę. Rodzice jednej z nich zgodzili się udostępnić nam duży pokój. Zrobiliśmy składkę, koleżanki wszystko przygotowały, jeden z kolegów przyniósł patefon, czy może nawet już adapter. Zabawa polegała głównie na tańcu. Nie laliśmy wosku, bo po pierwsze nie było wosku, a o użyciu świeczki nie pomyśleliśmy. Jedyne co, to buty ustawialiśmy od progu, by się dowiedzieć, kto pierwszy zmieni stan cywilny. Ale jak już powiedziałem, chcieliśmy potańczyć. Lubiliśmy to, ale, niestety, było to zakazane przez regulamin szkolny i nie mogliśmy chodzić na publiczne potańcówki. Bawiliśmy się pewnie jakoś do północy. Wszyscy rozeszliśmy się bardzo zadowoleni. Rano - awantura. Wieczorem, w trybie natychmiastowym, wezwano rodziców. Wszyscy uczestnicy tej zabawy mieli obniżone stopnie ze sprawowania, a w tamtych czasach było to bardzo ważne. Natomiast te dwie dziewczynki, które były odpowiedzialne za organizację wszystkiego, miały obniżone do dostatecznego. Za co? Za obchodzenie i urządzanie religianckich obrządków. Bo święty Andrzej. Teraz bardzo mnie to bawi, bo andrzejki są raczej pogańskie. Takie były realia. W tym samym roku, dalej w dziesiątej klasie, był karnawał, okazje. Zabawy żadnej nie było. W Popielec były jakieś skrócone lekcje, wezwali nas wszystkich do auli. Czekał na nas jakiś krótki film. Film się skończył. „Proszę rozsunać krzesła pod ściany!”. I muzyka. Jednego



*Rozkład lekcji w VIII klasie
(pierwszej gimnazjalnej, obecnie licealnej)*

² TPD – Towarzystwo Przyjaciół Dzieci

boląca noga, drugiego coś innego. Myśmy z kolegą poszli na balkon i patrzyliśmy ze zgorzeniem, jak nasza koleżanka z klasy tańczyła z kolegą z maturalnej klasy, ze swoją sympatią. Potem się tłumaczyła, że dyrektor specjalnie zaprowadził ją do niego i tak dalej. To było podkreślenie szkoły świeckiej.

K. K.: A jakie były przedmioty?

Prof. W. L.: Lekcje poprzedzał apel. Przedmioty były takie same jak wszędzie. Język polski, fizyka, matematyka, biologia, tylko chemia kończyła się w dziesiątej klasie. Była też nauka o społeczeństwie, taki WOS. W klasie maturalnej była też nauka o konstytucji, NOK. Tam nas uczyli, czym się różni konstytucja kapitalistyczna od socjalistycznej, co to jest wolność, dla kogo jest wolność, dla kogo wolności nie ma. Na historii wypożyczono nam na cały rok książki,

w których jest napisane: „[...] reakcyjni zbirzy z Delegatury i NSZ coraz ściślej współpracowali z okupantem przeciwko klasie robotniczej i całemu narodowi polskiemu. Między gestapo i Delegaturą doszło do porozumienia, na podstawie którego za sześciu członków PPR wydanych w ręce hitlerowców zwalniali oni z więzienia faszystowskiego jednego człowieka Delegatury. Doszło do porozumienia między Komendą AK a wojskowym wywiadem hitlerowskim (Abwehra), na mocy którego AK zobowiązała się nie atakować armii niemieckiej. W zamian za to Abwehra miała pomagać w akcji przeciw PPR. Liczne brygady wywiadowcze Delegatury na terenie całego kraju organizowały kartoteki ludzi podejrzanych o działalność lewicową. Zbrodniarzami hitlerowskimi, okupantem, przestano się całko-

Fragmety tekstu z podręcznika do Historii Polski z II półrocza XI klasy



siedziałaś w Oświęcimiu?”. Uczyliśmy się głównie o historii polskiej partii i rosyjskiej partii komunistycznej. Mieliśmy również taki przedmiot jak logikę. Uczyła go podobno dobra matematyczka, ale nie wiem czemu uwzięła się na mnie. Później wpadłem na to, że musiałem być podobny do jej męża, który ją rzucił. Na pierwszej lekcji sprawdzała obecność. „Leszczyński!”. Wstałem. „Powiedz mi, czy wiesz, czym się różni twoja głowa od pustyni?”. „Nie wiem, proszę pani”. „No to niedobrze, to jest logika. Powinieneś wiedzieć. To bardzo proste - pustynia jest pusta, no i twoja głowa jest pusta”. A ja na to mówię: „Pani profesor ma rację, jest związek - pustynia jest pełna piasku a moja głowa jest pełna rozumu”. Klasa wyła z radości. „Leszczyński! Czy wiesz, jak się łączy na pustyni lwa?”. „Nie wiem panie profesor”. „No to niedobrze, bierze się wielką sieć i zarzuca na lwa”. I tak na każdej lekcji coś durnego powiedziała. Mało tego. 23 maja pisałem maturę z matematyki. Byłem z niej bardzo dobry, jednym z lepszych uczniów w klasie. Popatrzyłem na zadania, były łatwe. Zacząłem rozwiązywać i podchodzi ta pani.

Pyta się mnie: „Nie trzeba ci niczego?”. Ja odpowiedziałem: „Nie, dziękuję pani profesor.”. Ona się nagle poderwała, leci do dyrektora, coś opowiada. Dyrektor podchodzi, „Leszczyński! Podobno ty się ordynarnie zachowywałeś wobec pani profesor. Co to jest?”. Wobec tego ja się obraziłem, założyłem ręce. „To w takim wypadku ja nie rozwiążę zadań.”. Pani od biologii do mnie: „Wacek, nie wygłupiaj się”, wychowawca do mnie: „Wacek, nie wygłupiaj się.” Wobec tego powiedziałem, że muszę się napić zimnej wody z sokiem. Gdy już się dałem przebłagać, to szybko rozwiązałem te zadania, łatwe były. Zrobiłem ściągę. Wychowawca się mnie spytał: „Jak, Wacek? Jak, Wacek?”. Odpowiedziałem: „Jakoś tam tego ... ale gdyby mógł pan profesor ten kubek, bo ten kubek mi niepotrzebny, zanieść tam, do Tadka, to bardzo byłbym wdzięczny.” Na oczach wychowawcy wrzuciłem tam ściągę, a on ten kubek zaniósł. Jak się okazało, przydało się, bo kolega z matmy był cienki. Po tym całym incydencie na maturze wezwano moją mamę do szkoły. Czekałem na nią za drzwiami, gdy wyszedł mój wychowawca i powiedział: „Nie przejmuj się wariatką.” Okazało się, że rozpowiadała, że chciałem, aby mi pomogła, a jak odmówiła, to miałem ją obrzucić ordynarnymi wyzwiskami. Ale wszyscy wiedzieli, że ja z matmy jestem dobry. Mieliśmy więcej godzin lekcyjnych niż dzisiaj.

Mieliśmy specjalne dzienniczki i każdą lekcję należało wpisać. Jak się dostało ocenę, to rodzice musieli ją podpisać. Taka była moja szkoła średnia.

K. K.: Jak spędzał Pan wolny czas po szkole?

Prof. W. L.: Wolnego czasu nie było za dużo. Po szkole, jak akurat nie stało się w kolejce, wracało się do domu. Tam było trzeba napalić w piecu, trochę posprzątać, pranie zrobić, później wyprasować je. Po odrobieniu lekcji było można poczytać, z tym, że z czytaniem było już coraz gorzej, bo książki sprzed '49 roku zostały wycofane i poszły na przemiał. Nowe książki zaś, te, które dopiero wychodziły, nie nadawały się do czytania. Na szczęście myśmy mieli sporo własnych książek. Spotykałem się także z przyjaciółmi. Jak odwiedzałem Tadka, to słuchaliśmy muzyki na jego adapterze. Raz mi nawet pożyczył, to w domu słuchałem płyt.

K. K.: A co z wakacjami, kiedy człowiek do szkoły nie chodził? Czy wyjeżdżał gdzieś Pan?

Prof. W. L.: Jako dziecko, jak i później, jako dorosły na wakacje jeździłem do Pokoju. Rosły tam jabłonie i śliwy, z których zbierałem owoce, następnie pakowałem do pociągu i wysyłałem do Wrocławia, gdzie odbierał je ktoś z rodziny. Spotykałem się też ze starymi przyjaciółmi, z którymi chodziłem w Pokoju, jak i w Opolu, do szkoły. Jako dziecko dwa razy tylko byłem na wczasach. Pierwszy raz w roku '48. Mama dostała wczasowy pracowniczy w domu „Opolanka” w Łądku Zdroju dla dwóch osób. Pojechaliśmy tam i pamiętam moje zszokowanie, gdy zobaczyłem, że dają prawdziwe białe bułki. Ponieważ nie mogłem przejeść dwóch bułek, to jedną brałem ze sobą do pokoju. Potem się jednak okazało, że nie jestem w stanie ich zjeść, więc przestałem je brać. To świadczy też o tym co się jadło w domu. Pamiętam także, że wtedy, w Łądku, Polacy byli w mniejszości. Wszystkie sanatoria oraz hotele i pensjonaty były zajęte przez Rosjan. Tych Rosjan - pierwszą kategorię - obsługiwali Niemcy - kategoria druga. A Polacy byli kategorią trzecią. Obecnie te sanatoria nazywają się „Jerzy” i „Wojciech”, lecz kiedy ja tam byłem w '48 nazywały się „Święty Jerzy” i „Święty Wojciech”. Były wycieczki w góry, na których mama się śmiała, że w Zakopanem i w Tatrach są prawdziwe podejścia, bo w Łądku wszędzie się po schodach

niemalże wchodziło. Oraz źródelka śmierdzące siarką. Zapadła mi jeszcze w pamięć pewna pani, która była w jakimś rozstroju nerwowym. Ciągle się wszystkiego bała. Okazało się, że była żoną adiutanta generała Bortnowskiego, dowódcy Armii „Pomorze”. Nie wiem tego na pewno, ale sądzę, że jej mąż siedział w więzieniu, a ją nachodziło UB.

Drugi raz byłem na kolonii. Jak skończyłem ósmą klasę, to szkoła organizowała kolonię nad morzem, w Dziwnowie. Zostaliśmy zakwaterowani w tamtejszym budynku szkoły. Rozłożyli nam sienniki w klasach, ale koce, prześcieradła, czy poduszki musieliśmy sami zabrać. W którymś momencie zrobiło się biednie - okazało się, że pieniądze z Opoła nie przychodzą. Musieliśmy podjąć więc pracę w porcie, gdzie robiliśmy porządki. Specyficzne to było, tym bardziej, że płacono nam w rybach, które później zjadaliśmy. Później chodziliśmy nad morze, gdzie zbieraliśmy muszelki, czy pływaliliśmy w Bałtyku, chociaż ja akurat brodziłem, bo woda w nim jest zimna. Jak pogoda była zimna, to siedzieliśmy w sypialni i nawet nie czytaliśmy, bo nie było co. Pamiętam, że graliśmy w szachy. I koniec. Będąc szczerym, ja jakoś nie bardzo chciałem jechać na tę kolonię. Namówiła mnie w końcu mama, podając dwa powody - pierwszy: bym zobaczył morze; drugi: bym się nie kręcił między nogami w czasie przeprowadzki. Może ludzie gdzieś jeszcze jeździli, nie wiem. Były jednak jeszcze obozy harcerskie. W '46 brat znajomej mamy – harcerz podharcemistrz namówił mojego 13-letniego brata, żeby też pojechał na obóz harcerski nad Turawę. Załatwili mu jakiś mundur i pojechał. Ja z mamą tam pojechaliliśmy raz ciężarówką z zaopatrzeniem do obozu. Mój brat dumnie oprowadzał nas po nim, salutował wszystkim instruktorom, opowiadał jak Werwolf podpalił namioty należące do obozu krakowskiego, że mają napady Rosjan, że przy magazynach stoją na warcie starsi harcerze z prawdziwymi nabitymi karabinami. Jego kolega, o rok starszy i rok wcześniej będący na obozie koło Głuchołaz, opowiadał też, jak harcerze strzelali się z Rosjanami. Także no, było „miło”. Po tygodniu mój brat uciekł z obozu. Nie odpowiadały mu tam warunki i dyscyplina. W '57 roku pojechałem na wczasy studenckie. Byłem wtedy nad morzem w Mielnie i chodziłem na plażę, jadałem na stołówce, grałem w szachy czy brydża. Później już z rodziną jeździłem w różne miejsca, na przykład wynajmowaliśmy pokój u górali, czy na wczasy pracownicze nad morzem. Za granicę wyjechać było ciężko. Mój pierwszy wyjazd za granicę, nie licząc praktyki studenckiej, odbył się w '74 roku do Czechosłowacji. A w latach 80., jako dziekana, naukowca, wypuszczali mnie na konferencję nawet do RFN-u, do Niemiec Zachodnich. Wiem, że byli ludzie, co jeździli do Bułgarii na wakacje. A jedna moja koleżanka nawet na Zachód latała, gdzie sprzedawała kryształki by zdobyć dolary na pobyt. Ja za granicę jeździłem zawsze służbowo, do końca PRL-u, nigdy prywatnie. Dostawało się paszport dzień przed wyjazdem i oddawało dzień przed powrocie.

K. K.: Czy był Pan harcerzem?

Prof. W. L.: W '45 roku syn wójta, który okazał się później wrednym volksdeutschem³, zgłosił się do mojej mamy, kierowniczki szkoły, że założy drużynę harcerską. Oczywiście my z bratem też się do niej zapisaliśmy. No ale ten Paulik, Paweł, ale Paulik mówiło się na niego, z tymi harcerzami mówił po niemiecku i poza tylko paroma zbiórkami na podwórku szkolnym to były głównie mecze piłki nożnej, więc myśmy się szybko wycofali.

³ Volksdeutsch – określenie stosowane wobec osób pochodzenia niemieckiego, zamieszkujących poza granicami Niemiec, którzy nie posiadali niemieckiego ani austriackiego obywatelstwa

Jak przyszła zima to harcerstwo szybko się skończyło. W '46 przyjechał do Pokoju gimnazjalista ze Śląska i zaproponował, że zorganizuje drużynę harcerską. No to myśmy znowu się zgłosili. I przez miesiąc czy sześć tygodni mieliśmy jakieś zajęcia harcerskie, podchody i tym podobne. Później, gdy wyjechał, wszystko się skończyło. W '47 roku zgłosił się do mojej mamy, która jeszcze do pierwszego października była kierowniczką szkoły, syn nowo przybyłego fryzjera. Zaproponował, że on zajmie się drużyną chłopców, a jego siostra drużyną harcerek. No to znowu się zapisałem, rodzice kupili mi mundurek. No i mieliśmy bardzo fajne zajęcia. Ognisko dla publiki w parku, skecze odgrywaliśmy. Jeden przykładowo polegał na robieniu



*Pan Waclaw jako
drużynowy Drużyny
"Węzeł",
rok 1960*

kawy z trawy. Harcerz wkładał do pudełka trawę, a następnie wyciągał ziarenka kawy, którymi częstował publiczność. A na końcu wyciągał za uszy królika. Królicze kupki są podobne do ziarenek kawy. Nie było kina, nie było teatru, nie było nic, a dla miejscowych to była rozrywka. Jak urządziliśmy jasełka w domu ludowym, to sala była pełna. Nawet wizytację z hufca mieliśmy. Po wakacjach '48 roku miałem przystąpić do przyrzeczenia. Ale nasz drużynowy pojechał na kongres młodzieży, gdzie nastąpiło połączenie wszystkich organizacji młodzieżowych w Związek Młodzieży Polskiej, zapisał się do niego, a drużynę rzucił. Na tym się skończyło moje harcerstwo, w owym czasie. Pod koniec studiów zorganizowałem drużynę akademicką "Węzeł" i prowadziłem ją przez cztery lata, aż do jej likwidacji. Potem działałem też w odradzającym się harcerstwie w latach 80. i po 1989 r. w Komitecie Odrodzenia ZHP na początku lat 90.

K. K.: Czy miał Pan swój ulubiony program w telewizji?

Prof. W. L.: Pierwszy telewizor rodzice kupili jeszcze za Gomółki. Wtedy moim ulubionym programem był taki kryminał „Kobra”, co leciał zawsze w czwartek. Potem byli „Czterej pancerni i pies”, „Stawka większa niż życie” z Klossem, a później był jeszcze taki humorystyczny „Express”. Ale telewizję się oglądało raz na tydzień. Nie miało się czasu, na studiach miałem dużo nauki. A później pojawiła się rodzina, dzieci i też czasu nie było.

K. K.: Czy pochodzi Pan z rodziny o tradycjach religijnych i patriotycznych?

Prof. W. L.: Raczej tak. Praprapradziadek wspierał powstanie kościuszkowskie, prapradziadkowie brali udział w powstaniu listopadowym, pradiadkowie w powstaniu styczniowym, mama była w AK, tata u Andersa, wujek też był w AK, cioteczna siostra była w batalionie „Parasol”. Także, jak najbardziej.

K. K.: Członkowie Pana najbliższej rodziny działali w podziemiu. Jak byli traktowani po wojnie?

Prof. W. L.: W '45 mama pojechała do Warszawy zorientować się w możliwościach pracy i zamieszkania, to ludzie się mamy bali, z powodu przynależności do AK. Także, gdy mama zorientowała się, że możemy mieć tylko kłopoty, to pojechalśmy na ziemie zachodnie. Natomiast moja ciotka, będąca szefową mojej mamy, w stopniu majora i członkiem Komendy Głównej dostała 15 lat w więzieniu, wyszła po 10. Natomiast moje siostry cioteczne dowiedziały się ode mnie, że ich ojciec był w AK. Takich rzeczy się nie mówiło. W szkole

wszystko notowało się w dzienniku. Znajdowały się tam także noty, tajne informacje. Dzienniki były wtedy papierowe, więc zdarzało się, że nauczyciel wysyłał uczniów po nie. Lubowały się w tym dziewczynki, bo mogły wtedy te noty poczytać. I wychodziło wtedy, czy ktoś w ogóle ma rodziców, czemu mama koleżanki ciągle chodzi wystraszone, że tata kolegi siedzi w więzieniu. Ale o tym nigdy się nie rozmawiało. Tato jednego z kolegów został skazany na karę śmierci. Dopiero po apelacji do samego Bieruta został wyrok zamieniony na dożywocie, a ostatecznie zrehabilitowany i wypuszczony po '56. Ale ten kolega przez 3 lata starał się dostać na architekturę i nie dostał się. Jeśli rodzice byli źle notowani, to się nie dostawało na studia.

K. K.: W takim razie Pan też musiał mieć problemy ze studiami?

Prof. W. L.: Ja nie miałem z tym żadnych problemów, bo byłem po dobrej, TPD-owskiej szkole, która mnie nauczyła myślenia. Wobec tego wiedziałem, że na medycynę i politechnikę nie mam nawet co się starać, bo stracę rok. Poszedłem na rolnictwo, bo to mnie dosyć interesowało. Pomyślałem, że to połączenie biologii z chemią oraz na rolnictwo starało się mało osób, więc przyjęli mnie bez większych kłopotów. Mój przyjaciel, którego ojciec był przed wojną oficerem zawodowym, też nie mógł się dostać na studia, ale wtedy WSE, obecny Uniwersytet Ekonomiczny, otworzył kierunek „organizacja przemysłu spożywczego”, na który nie było chętnych i dlatego się dostał. Wracając do mnie, ponieważ miałem dobre oceny na studiach, miałem średnią 4,77, zlecono mi dobranie osób na wyjazd do Jugosławii. To było coś niesamowitego, ponieważ do tej pory Jugosławia była zakazana. Tito⁴ był rysowany z budzikiem na szyi i krwawym toporem. Tymczasem za Gomułki nastąpiła przyjaźń z Jugosławią i byliśmy pierwszymi studentami, którzy pojechali na praktykę do Jugosławii. To była taka wymiana. Jechaliśmy pociągiem przez Czechosłowację do Wiednia, a tam mieliśmy przesiadkę do Jugosławii. W Austrii nastąpił przykry dla mnie epizod. Mianowicie nie mieliśmy pieniędzy na przechowywanie bagażu. Złożyliśmy więc bagaże na jedną kupę w rogu poczekalni. Chłopcy poszli tłumnie zwiedzać Wiedeń, a przy bagażach zostałem tylko ja oraz kolega Ślązak, który szybko się ulotnił. Zostałem sam. Kiedy w końcu zostałem zastąpiony, udałem się na indywidualne zwiedzanie. Dzięki temu, że przeglądałem niemieckie książki znałem kilka słów, bez większych problemów dostałem się więc tramwajem pod katedrę. Dwie rzeczy mnie zszokowały - po pierwsze wszystkie boczne uliczki były zapchane samochodami. U nas, jak jechał samochód, to człowiek się za nim oglądał. Mówimy o roku '57. Drugie, co mi się rzuciło w oczy to sklepy - bez krat, wielkie, jasne, manekiny ubrane elegancko, koszule, spodnie. Czegóż takiego nigdy wcześniej nie widziałem. Patrząc na jeden ze sklepów, a tam ... samochody za oknem stoją. Kontrast między brudnymi szybami, za którymi stał portret Bieruta czy Gomułki oraz czerwona i biało-czerwona flaga a tym, co wtedy widziałem, to był istny szok. Pamiętam również taki parczek. Ludzie sobie chodzili, a był to dzień powszedni, już ciemno było na dworze ... a w trawie świeciły się lampy. W ogóle było jasno. U nas jak pierwszy raz pojawiły się latarnie na osi Placu Grunwaldzkiego, to to był szok. A w Wiedniu na ulicach było jasno jak w dzień. Ludzie po tym parku sobie spokojnie chodzili, były ławki przez nikogo niezniszczone, rosły róże, których nikt nie zrywał. No to był dla mnie szok. Gdzieś tam ktoś grał, gdzieś parkiet, na którym młodzi ludzi tańczą. To był inny świat. Niestety, musiałem wracać, bo było trzeba zdążyć na pociąg.

⁴ Josip Broz Tito – chorwacki przywódca Socjalistycznej Federacyjnej Republiki Jugosłowiańskiej od roku 1945 do 1980 roku

Doskonale też pamiętam, jak przyjechaliśmy do Lublany, to wtedy była Jugosławia. Tłum się rzucił do wagonu, a my wysiąść nie mogliśmy. Nagle ktoś zawołał: „Polako! Polako!” i ludzie nagle się rozstąpili. Zaczęliśmy się głowić, skąd oni wiedzieli, że jesteśmy Polakami. Dopiero później się dowiedzieliśmy, że „polako” oznacza „powoli”. Jugosławia zaskoczyła mnie podobnie jak Wiedeń. Wszędzie sklepy były, jak w Wiedniu. Mało tego. W Zagrzebiu szliśmy z kolegami wieczorem przez miasto i zobaczyliśmy faceta, który zmywał ulicę. Ktoś tam zmywał ulicę! Były kosze na śmieci. Było czysto. Na chodniku również. Inny świat, Europa. Tam przed śniadaniem częstowano setką rakii. Dla mnie to coś wyjątkowo wstrętnego. Bardzo ładnie pachnie, bo to ze śliwek jest. Ogólnie nie lubię alkoholu, a to jest akurat mocny alkohol, do tego ze wszystkimi fuzlami⁵. Ale tam to ciągle ją piją. Kiedy w końcu trafiłem na wieś, na praktyki, to było tam tak jak u nas w Polsce, albo nawet gorzej. Tyle że tam nie było zakazu pędzenia bimbrow. Przy każdym domu stała beczka z fermentującymi śliwkami, a przy studni stała odpowiednia aparatura do destylacji. I oni pili przy każdej okazji. Jak się żegnałem z takim studentem u niego w domu, to było trzeba się napić za Gomułkę, za Titę, za przyjaźń polsko-jugosławską. Było można też kupić w sklepie rakię podwójnie destylowaną. Litr kosztował około 1000 dinarów, ale butelka 300 dinarów. No irytowało nas to, bośmy ten alkohol do Polski wieźli, był tańszy od naszego. Jako prezenty z Jugosławii kupiłem właśnie sporo tej rakii, papierosy, rodzynki, bo rodzynki nawet były dostępne w sklepie, czekolada też w sklepie była. U nas nie pamiętam tabliczek czekolady. Była tylko mieszanka wedlowska. Nam się wydawało, że jest tam tanio.

K. K.: Mógłby Pan dokładniej opowiedzieć o życiu studenckim w PRL-u?

Prof. W. L.: Różnie bywało. Jak ja byłem studentem to pamiętam, że na Placu Grunwaldzkim był drewniany parkiet, na którym czasami grała orkiestra i było można potańczyć. Uczelnie organizowały własne zabawy. U nas się wynosiło ławki z sali, przygotowywano nagłośnienie i odbywały się potańcówki. Także organizowaliśmy takie wieczorki roku, na które zapraszaliśmy delegacje z innych lat i profesorów. Odbywały się jakieś przedstawienia wtedy, zabawy. W sumie 3 razy je zorganizowaliśmy. Czasami, jak ktoś chciał wejść nielegalnie, dochodziło do sprzeczki, a w jej następstwie do bójki. Jednak dopiero w latach 70. zaczęło się rozwijać prawdziwe życie studenckie, mianowicie zbudowano w '78 roku akademik, „Arkę”. Dotychczas akademiki były jednopłciowe - męskie i żeńskie. A to była jedna z pierwszych rewolucji na skalę całego kraju, ponieważ był on przeznaczony dla studentów pierwszego roku wszystkich wydziałów - i chłopców, i dziewcząt. I tam zaczynało się życie, lekko mówiąc, w owych czasach niedopuszczalne. W tym wypadku mój szef, będący dziekanem, chodził tam i starał się robić tam porządek, między innymi wyganiał chłopców od dziewcząt. Podkreślić chcę tutaj, że był członkiem partii, ale przyzwoitym człowiekiem. Wezwano go do komitetu, ochrzano go, że wtrąca się do cudzych spraw, że dom akademicki to dom studentów i że mogą w nim robić, co im się podoba, a jemu do tego nic. A potem jako partyjnemu powiedziano mu: „Słuchaj, my na rolnictwie mamy głównie młodzież ze wsi i małych miasteczek, które są pod wpływem tradycyjnych rodziców i kleru. My musimy ich od nich wyrwać. Specjalnie stwarzamy takie warunki, jakie są, bo jak dziewczyna zrobi dwie skrobanki to już jest nasza.”. Pan Gustaw był lojalnym członkiem partii i nigdy nic nie mówił co było omawiane na zebraniu, to tym razem wrócił cały czerwony i mi to opowiedział.

⁵ Fuzle – zbiorowa nazwa mieszaniny wyższych alkoholi powstających jako uboczne produkty fermentacji alkoholowej

K. K.: Czy musiał Pan odbyć obowiązkową służbę wojskową?

Prof. W. L.: Na studiach mieliśmy Studium Wojskowe. Raz w tygodniu należało się stawić na całodzienne szkolenie. Odbywały się one zazwyczaj w soboty. Szło się na pole i tam się biegało, ćwiczyło, walczyło na bagnety, rzucało granatami oraz oczywiście strzelało ślepyimi nabojami. Popołudnia spędzało się w sali, gdzie w specjalnych zeszytach, których nie było można wynosić poza studium, robiło się notatki. Czyściliśmy bezużyteczną broń z przewierconą komorą nabojaową.



*Zajęcia na obozie wojskowym
(Pan Waclaw pierwszy od lewej)
lipiec 1957 roku*

Najpierw mieliśmy Mosiny, długie na 93 cm, później KBK wz. 1944 ze złożonym bagnetem. No i były pepesze. Były jeszcze RKM-y Diegtariowa z 49 pociskami w talerzu. Wszystko musiano znać na pamięć. Był taki dowcip: „Student! Z czego zbudowana jest lufa karabinu?”. „Lufa karabinu zbudowana jest ze stali”. „Dobrze”. „Student! Z czego zbudowany jest zamek karabinu?”. „Zamek karabinu zbudowany jest ze stali”. „Źle, siadaj! Tyle razy wam mówiłem, bałwany, że zamek zbudowany jest z analogicznego materiału.”. Mimo wszystko uważałem i nadal uważam, że Studium Wojskowe jest potrzebne. My w razie potrzeby umielibyśmy rzucić granatem, wcześniej wyciągając zawleczkę, strzelać z CKM-u, RKM-u. W pierwszym roku, w ciągu sesji, schudłem 5 kilo. Nad Odrą mieliśmy 4 egzaminy: z broni, z taktyki, z musztry i regulaminów oraz z czegoś jeszcze, ale już nie pamiętam. Z każdego dostawało się ocenę, a z nich była średnia. Kończyło się to obozem, który mieliśmy w Bolesławcu. Mieliśmy w trakcie niego marsz 30-kilometrowy. Szczęśliwie ja trafiłem do pozoracji, więc jechałem ciężarówką. Co jakiś czas wyskakiwaliśmy i strzelaliśmy z karabinów, ślepakami oczywiście, rzucaliśmy czymś, co imitowało granaty. Oni musieli się rozwinąć, zaatakować i tak dalej. W każdym razie ukończyłem obóz. Później powoływali na



*Pan Waclaw jako dowódca
kompanii w Studium
Woskowym, 1971/1972*

3 miesiące. Ja się starałem wykręcać, jak mogłem, bo mi się nie chciało, to była strata czasu. Wobec tego zrobili mnie dowódcą kompanii Studium Wojskowego. Miałem więc zajęcia ze studentami. Pamiętam, jak przygotowywałem się do ćwiczeń z RKM-em. Człowiek miał to tak wbite do głowy, że obudzony w środku nocy umiał wyszczeakać odpowiednie komendy. Zgodnie z tym wzięłem RKM, wyjąłem bolec i „energicznym uderzeniem z góry na dół” uderzyłem w kolbę. Nie wyszło. Powtórzyłem. I znowu nie wyszło. Obok stał jeden major i powiedział: „Widać, że dobrze pana nauczyli, ale teraz budowa jest odrobinę zmieniona.”. Uczyłem więc studentów budowy broni przez 2 miesiące. Dostałem stopień podporucznika, wysłali mnie na jakieś szkolenia i skończyli ze mną.

K. K.: Czy mógłby teraz opowiedzieć Pan jak wyglądały zakupy w PRL-u oraz co było w sklepach, prócz pustych półek?

Prof. W. L.: Wszystko zależało od okresu. W ‘50 roku wprowadzono kartki na mięso. Szło się z tymi kartkami do sklepu, stało się w ogonku, a jak się dochodziło do lady to już nic nie było. Dlatego po jakimś czasie zrezygnowaliśmy - ja i brat, ponieważ rodzice pracowali - z chodzenia do sklepu po mięso. Wszyscy jadaliliśmy w stołówkach. W latach ‘50 były

dostępne również chleb, masło i sztuczny miód. Jeżeli chciało się kupić - przykładowo – ocet, to było trzeba przynieść butelkę. Bez własnej butelki niczego by się nie dostało, nieważne czy chodziłoby o olej, o ocet, czy o wódkę. Chociaż prawdę powiedziawszy ja nie przypominam sobie, bym kiedykolwiek widział olej. Pasta do zębów była dostępna w takich metalowych tubkach, które należało zabrać ze sobą w celu ponownego nabycia. Jeśli się chciało kupić sitko, durszlak, czy garnek to należało wziąć ze sobą szmaty. Szmat po prostu nie było. Papier jeszcze był, mianowicie w postaci gazet. Gazet używano jednak jako zastępstwo dla papieru toaletowego. W każdym razie papier jeszcze był, a szmat nie. Jeżeli miałeś kompletnie dziurawe majtki, to używało się ich do wycierania podłogi. Dostępne były żyletki, oczywiście do golenia się, zresztą do dzisiaj ich używam. Była taka bardzo dobra firma, Polonia, ale była ona prywatna. Dlatego zaczęli pisać w gazetach, jaka ona jest zła. Mój ojciec napisał do jednej z redakcji pismo, w którym bardzo mocno ją zachwalał, ale oczywiście nie wydrukowano tego. Ostatecznie zamknięto ją, z powodu skarg klientów. Bardzo ciężko dostępne były ubrania, więc kupowano tkaniny i zanoszono do krawców, my jeździliśmy do Pokoju. To było oczywiście nielegalne, zazwyczaj nie mieli oni oficjalnych warsztatów. Raz mojej mamie udało się kupić sukienkę w konie. Przy czym moja żona oraz moi teściowie opowiadali mi, że w Wielkopolsce nie było tylu problemów i że tam normalnie funkcjonowały prywatne zakłady.

Za Gomułki panował „siermiężny” socjalizm. Polepszyło się za Gierka, kiedy zaciągnięto ogromne długi za granicą. Pojawiło się mięso, bułki. Nie było cudów, ale też nie było można narzekać. To były czasy, gdy wołowina była tańsza od wieprzowiny. I ten dobrobyt utrzymywał się do '75/'76 roku. Powstały w tamtym czasie specjalne sklepy, gdzie nadal było można kupić wszystko, ale za dużo wyższą cenę. Czasami robiłem szaleństwa. Na piątą rocznicę ślubu kupiłem żonie srebrną bransoletkę z nefrytami. Kosztowało to 1500zł, a moja pensja wynosiła 1700zł. Złota w sklepach nie było. Obrączki, które mam są nielegalne. Były to czasy, gdy za posiadanie złota lub dolarów groziła kara śmierci. Było można posiadać jedynie złotą biżuterię. Wszystko inne było nielegalne. Więc jeden z moich profesorów wszystkie złote monety przerobił u jubilera na obrączki. Przyniósł mi więc ich całą torbę, aż mi głupio było i mierzyłem je z przyszłą żoną w parku koło PDT-u. Potem je zważył na wadze analitycznej. 80 złotych za gram policzył, czyli tyle samo co dolar. Pierwszy złoty pierścionek, poza obrączką, żona dostała jako nagrodę za doktorat. Oczywiście to też było nielegalne, zrobione w Lesznie. Miał jakiś półszlachetny kamyczek i kosztował około 3000zł. Musiałem zapożyczyć się na niego u teściów.

K. K.: Tyle się mówi o kolejkach za komuny oraz o pustych półkach w sklepie. Czy mógłby Pan opowiedzieć, co w takim razie się jadło? W końcu ludzie z głodu nie umierali.

Prof. W. L.: Wszystko zależy od okresu. W listopadzie '45 roku wprowadzono kartki. Jak mama przywoziła wtedy kilo mąki z Opola, to ja szedłem do piekarza i z kilograma mąki dostawałem kilogram chleba. Chleb więc był. Ponieważ nie było pieniędzy, często można było się spotkać z handlem wymiennym. Za mleko czy jajka płacono zapalkami. Pewnego razu udało się mamie zdobyć olej rzepakowy. Z tym, że ten obecnie dostępny w sklepach jest taki złocisty, a tamten był brązowy. Później na studiach dowiedziałem się, że był on nierafinowany. Zawierał w sobie toksyczne składniki, to one nadawały mu taką barwę. Na tym oleju smażyło się cebulę i jak się zeszkliła to się kładło na chleb. Jedliśmy prócz tego kaszę plukę, było to mianowicie zmielone ziarno jęczmienia

nieobłuskanego. Nazwa wzięła się od łusek, które się spluwało. Do tego były jeszcze kartofle pozostawione przez Niemców. Mięsa się nie jadło, bo go po prostu nie było. Wprawdzie hodowaliśmy króliki, ale były one bardziej jak przyjaciele. Kto to widział zjadać przyjaciół? Każdy miał swoje imię, bawiliśmy się z nimi. Mieliśmy do 30 królików. Kiedy zakonnice szykowały mojego brata do gimnazjum to mama zapłaciła im właśnie królikami. W '47 roku musieliśmy zjeść ostatnie 2 króliki, ale robiliśmy to ze łzami w oczach. Były to Aniołek i Gap. Po niedługim czasie było wszystko. Babcia mi mówiła, co mam kupić, wracając ze szkoły i kupowałem polędwiczkę wieprzową, ogólnie mięso i tak dalej. Nie było z tym problemu.

W późniejszym czasie cała rodzina jadała w stołówkach. Codziennie była zupa, mianowicie wywar z kości z jarzynkami i zasypany grysikiem. Miało to aromat starej śmierdzącej ścierki. Dlaczego? Ponieważ zanim przewieźli kości z rzeźni, zanim zostały ugotowane, to one zdążyły już zaśmierdnąć. Na drugie danie najczęściej był smażony dorsz, oczywiście z ośmi. Jak później poeta pisał: „A w żołądku dorsz narodowy.” Było to po prostu najtańsze, a innych źródeł białka nie było. Prócz tego mogło być jeszcze jajko na twardo w sosie musztardowym. W piątek mogły się trafić albo pulpety, albo kotlet mielony. Na deser, w wyszczerbionych kubeczkach, był kompot. Myśmy to nazywali płynem stołówkowym, ponieważ był to kompot z jabłek bardzo rozcieńczony. A jeżeli ktoś znalazł na dnie kawałek jabłka to miał koleżeński obowiązek zjeść go, by następnego dnia nie wylądował znowu w kompocie. Nie było to może smaczne, ale człowiek nie zwracał uwagi na to, co je. Takie to były czasy. Na pierwsze śniadanie czasu nie było. Dostępna była kawa zbożowa, więc taką się piło w międzyczasie, szykując drugie śniadanie. Człowiek kroił kromkę chleba i smarował ją albo masłem, albo tym sztucznym miodem. Po latach zdałem dopiero sobie sprawę, że nigdy nie wpadłem na to, by smarować i masłem, i miodem. Gdy było już późno, to patrzyłem przez okno - szczęśliwie przystanek było z niego widać. Jeżeli widziałem już tramwaj to dolewałem do kawy wody z kranu, szybko kończyłem pić i biegiem zdążałem na tramwaj. Po części była to zasługa ogromnej ilości ludzi, jaka się przetaczała przez przystanek. W okresie komuny większość restauracji została przejęta przez państwo i nie nazywały się już „restauracjami”, ale „punktami zbiorowego żywienia” i numer na końcu. W PDT-cie, obecnej Renomie, znajdował się punkt zbiorowego żywienia numer 2. I myśmy często tam chodzili, bo tam te pomieszczenia strasznie wysokie były, przez co nie było tak duszno. Przychodziło się i przy wejściu, w kasie, wykupywało się obiady albo popularne, albo klubowe. Popularne, po wymianie pieniędzy kosztowały 2,40zł, klubowe 5,40zł lub 5,60zł, nie pamiętam bośmy zawsze brali popularne. Jak wykupiło się kwitek to się patrzyło - były stoliki, a przy nich po cztery krzesła, a na nich czterech konsumentów. Za każdym konsumentem stali kolejni klienci czekali, aż on zje. Więc wcześniej się zaglądało i jak było więcej niż 3 osoby za konsumentem, tośmy rezygnowali. Natomiast jak były 3 lub mniej to się wykupywało i ustawiało się w ogonku. Konsument zjadał, wstawał, na jego miejsce ktoś już siadał, a kelner zabierał naczynia, przynosił zupę, sztucce - dokładnie łyżkę i widelec, noży nie. Czasami się mówi, że nóż był na łańcuchu, ale to bujda, noży po prostu nie było. Po zupie kelner przynosił drugie danie. Jak klient zjadł to wstawał i tak w kółko. A co się jadło w takiej „restauracji”? Nie zwracało się na to uwagi. Jadło się szybko, bo za tobą już stali kolejni ludzie, którzy potrafili marudzić, ile można żuć. Później się prz rzuciliśmy na bary mleczne. Punkt zbiorowego żywienia zamienił się na bar studencki, którego zresztą już nie ma. Brało się podwójne zsiadłe mleko, kartofle lub pierogi ruskie i był obiad niedzielny. Człowiek je, aby żyć, nie żyje, aby jeść.

K. K.: Jak się ubierano w PRL-u?

Prof. W. L.: Ubrania w PRL-u były strasznie drogie. Zakup nowych ubrań jednak nie pochłaniał sporej części wypłaty, ponieważ były ważniejsze rzeczy do kupienia, jak choćby jedzenie. Ja rosłem i wyrosłem ze spodni. Mój starszy brat też wyrósł ze swoich spodni i po kilku latach ich używania, mnie one przypadły. Na długość były dobre, ale o dobre 10-15 cm za szerokie. Wtedy nie było zamków błyskawicznych i spodnie z przodu zapinało się na guziki. Wobec tego przewlokłem kawał sznurka przez dziurkę najwyżej położonego guzika i jego koniec zaciągałem tak, żeby spodnie nie spadały i zawiązywałem go na szlufce od paska. Żeby tego nie było widać przykrywało się swetrem. Wtedy byłem na studiach, rok 1954, czy 1955. Kiedy już pracowałem na uczelni od 1959 roku to do końca lat 80. miałem dwa ubrania - wtedy nosiło się garnitury, marynarkę i spodnie - jedno na co dzień i drugie od święta. Jak to codzienne nie nadawało się już do użytku, to na co dzień używało się dotychczasowe świąteczne i trzeba było postarać się o nowe na niedziele, co było nie tylko wielkim wydatkiem, ale i kłopotem. A sznurek do tamtych spodni był prawdziwy, konopny, trudno dostępny. W handlu przeważał sznurek papierowy - ściśle zwinięty papier pakunkowy.

K. K.: A czym się podróżowało w PRL?

Prof. W.L.: Jak wszystko w PRL-u, zależy to od okresu. Jeszcze w '45 roku Rosjanie rozkradli wszystko łącznie z torami. Dopiero później, „przy ich pomocy” udało się odbudować dawne trasy. Do naszego Pokoju zajeżdżała komunikacja autobusowa, o dziwo, prywatna. Jak to wyglądało? Mianowicie była ciężarówka, a na jej pace ustawione jakieś ławki do siedzenia. Dopiero z czasem pociąg zaczął wieść prym. Głównie się w nim stało. Zresztą jako chłopak nawet się nie pchałem, by siedzieć. Czasami udało mi się w połowie trasy zapakować walizkę do przedziału na półkę. W toalecie siedziało po kilka osób. W przedziałach były po 4 miejsca na ławce, ale siedziało po pięć osób, a między nimi stali ludzie. Jak mój syn na Oazy jeździł, ze swoim przyjacielem Sławkiem, w latach 70., to ja razem z drugim ojcem wpychaliśmy ich na siłę do pociągu, tylko by drzwi się zamknęły. I tak przez cały PRL. Pamiętam jak w '50 roku jechało wujostwo z czworgiem małych dzieci. Dwoje to były niemowlaki. Pojechali z Pokoju do Namysłowa i mieli tam wsiąść do pociągu, do Łodzi. Przyjechał pełny. Ale wtedy mój 17-letni brat, który zresztą był bardzo sprawny, zorientował się, że ludzie wysiadają z jednego wagonu. Zapukał więc w okno do przedziału, gdzie było miejsce, ktoś mu otworzył je, a on zaczął podawać te niemowlęta przez okno. Potem podał kolejne dwie dziewczynki, jedną 3-letnią, drugą 5-letnią. Na koniec sam wszedł przez okno, tak, że jak ciotka przepchnęła się przez korytarz to było dla niej miejsce. Dziwne rzeczy się robiło. W dużych miastach jeździły tramwaje. Wsiadało się do nich przez tylne drzwi, a przez przednie się wychodziło. Z przodu mógł wsiąść jedynie inwalida, kobieta w ciąży lub matka z dzieckiem. Przy tylnych drzwiach stał konduktor, u którego było można kupić bilety. Jako uczeń miałem bilet miesięczny, taką karteczkę, na której pisało skąd, dokąd mogę jeździć. No i było do tego kilka darmowych przejazdów, gdybym musiał coś innego załatwić w innej części miasta. W tramwajach się stało i nie były one zamykane, dlatego niektórzy moi koledzy, by zaimponować koleżankom i sobie nawzajem oraz by mieć bliżej do szkoły, wyskakiwali na zakręcie. W Warszawie jeździły trolejbusy, czyli busy z napędem elektrycznym. Na kobiety w wieku powyżej 50 lat mówiło się, że są w wieku „trolejbusowym”, ponieważ trolejbusy miały numery od 50 w górę. Później, jak już pracowałem, to na wczasy pracownicze, nad morze do Dąbek, wozili nas autobusem. Ale to dopiero w latach 70. Komunikacja była okropna.

K. K.: A jak to było z samolotami?

Prof. W. L.: Ja pierwszy raz samolotem leciałem w roku '78. Ale moja mama leciała samolotem już w roku '47, jeszcze przed przyjazdem taty. Mianowicie chodziło o pogrzeb dziadka, którego ekshumowali z jednego z wielkich zbiorowych grobów na Placu Krasińskich, po kilka tysięcy zwłok w jednym. Mama, która była na zjeździe absolwentów na uniwersytecie łódzkim, wróciła do Pokoju, gdzie czekała na nią depesza, z informacją, że pogrzeb ma się odbyć następnego dnia. Nawet nie wróciła do domu, tylko tym autobusem, którym przyjechała wróciła do Opolą, a stamtąd udała się do Katowic. I poleciała samolotem z Katowic do Warszawy. Opowiadała później, że w nim były tylko ławki i na nich się siedziało. Ja natomiast poleciałem pierwszy raz w '78 roku, byłem na zjeździe naukowym. Zabrali nas z Warszawy do Koszalina, mianowicie na lotnisko wojskowe, specjalnym samolotem, a później przygotowanym autobusem. Ale tak to samolotem się nie latało, bo delikatnie mówiąc były drogie. Nawet służbowo jeździłem pociągami sypialnym.

K. K.: A pierwszy samochód, kiedy Pan sobie sprawił?

Prof. W. L.: Pierwszy samochód kupiłem 26 czerwca '77 roku, czyli jak miałem 41 lat. Była to „Warszawa” kombi, jeszcze nowa, bo tylko 6-letnia. Później się okazało, że była ona dawniej milicyjna. To był piękny samochód, 4,70 metra długości, 1,70 metra długości i wysokości. Nie było żadnych pasów, nie było żadnych ograniczeń. Jak się jechało to moje córki spały na leżąco, syn też siedział z tyłu, a ja z żoną na przodzie. Tylko musiałem pilnować by nie zasnęła, bo przy hamowaniu mogłaby uderzyć w szybę. Miałem ją przez 13/14 lat. To był bardzo dobry samochód, tylko po 20 latach zaczął się sypać.

K. K.: Jak wyglądała praca na uczelni?

Prof. W. L.: Zajęcia, praca ze studentami, później w laboratorium, w fatalnych warunkach. Dopiero jak dwie dziewczyny dostały krwotoku płuc, to starali się założyć nam wentylację. Wążący 200 kilogramów piec wnoszono po schodach. Dopiero ja wywalczyłem, że założono nam windę towarową. Pewnego razu, w '69 roku, miałem bardzo ciekawe wyniki. Akurat ukazało się ogłoszenie na temat kongresu w Holandii. Wysłałem im moją pracę, przetłumaczoną na angielski a oni ją przyjęli. Byli gotowi mi zapłacić oraz opłacić zakwaterowanie, wyżywienie oraz transport. Podobało mi się to. Wezwano mnie jednak to Działu Nauki. Żyłem w dobrych stosunkach z jego kierowniczką, oczywiście partyjną. Ale ja nigdy nie segregowałem ludzi według przynależności partyjnej, religijnej, czy jakiejś innej. No i powiedziała do mnie: „Czyli pan, panie Wacku, wybiera się na jakiś kongres?”. „No tak.” wytłumaczyłem jej co i jak. „No dobrze, ale to okropnie dużo kosztuje”. Powiedziałem jej wszystko. „A dlaczego chcą panu wszystko opłacić? Może chcą by miał pan jakieś zobowiązania wobec nich? A może pan już jakieś ma? Bo czemu akurat panu, młodemu pracownikowi, chcą fundować? Przecież to duże pieniądze.”. W końcu się spytała: „A na długo pan tam jedzie?”. Ja mówię: „Na 5 dni.”. „A pracować na uczelni to chciałby pan dłużej niż 5 dni?”. Jako uczeń szkoły TPD-owskiej pojąłem aluzję. Napisałem, że niestety nie przyjadę. Paszportu pewnie i tak bym nie dostał, a miałbym jeszcze kłopoty. I do dzisiaj nie wiem, czy Pani Lodzia z własnej chęci mnie przestrzegła, czy też dostała takie zadanie. Jeździłem dużo na kontrole praktykantów w zakładach przemysłu ziemniaczanego w Łomży, Nowogardzie, Lęborku, Łobzie, Luboniu koło Poznania, Pile, Niechłowie, Namysłowie, Głownie koło Łowicza oraz na wiele konferencji naukowych we wszystkich większych

miastach, więc nocowałem w wielu hotelach. Staralem się o pokój jednoosobowy, ale o niego było trudno. Gdy się miało pokój większy, to do niego dokwaterowywano dodatkowych gości. Mnie to parę razy spotkało. Nawet sam byłem raz dokwaterowany do jakiegoś małżeństwa w trzysobowym pokoju, a raz, gdy byłem na konferencji naukowej z żoną w trzysobowym pokoju, to nam dokwaterowano jakiegoś gościa. W zasadzie w hotelach łazienka i WC były na korytarzach, dostępne dla wszystkich. No i nie było mowy o śniadaniu.

K. K.: Czy zarobki na uczelni pozwalały utrzymać rodzinę?

Prof. W. L.: Co to znaczy „pozwalają”? Musiały. Po prostu musiały. Było ciężko, zwłaszcza jak pojawiło się pierwsze dziecko, drugie dziecko. Jak żona spodziewała się trzeciego dziecka to śmiano się z nas, że będę chodził pod kościół żebrać. Wszystkie zleczone mi przez uczelnie prace brałem i wykonywałem, często wieczorami. Za Gierka, kiedy rozpoczęły się wielkie projekty, zrobiło się całkiem nieźle, były z tego całkiem spore pieniądze, przy czym wychodziłem do pracy rano, a wracałem około 9 wieczorem. Czasami tramwaje już nie jeździły, więc wracałem piechotą. Coś za coś.

K. K.: Czy łatwo dało się awansować w PRL-u?

Prof. W. L.: Zgodnie z takim powiedzeniem: „W Poroninie na leszczynie wiszą gacie po Leninie. Kto je pocałuje, ten awansuje.”. Jeśli byłeś członkiem partii to szybko. Natomiast mój współpracownik mawiał: „Panie, gdybym był członkiem partii, to też bym nic nie robił”. Oczywiście byli różni ludzie, pracowici partyjni, jak mój szef, też się znaleźli. Ale byli też tacy, których partia gdzieś wysłała, by pilnowali i w przyszłości zajęli miejsca reakcyjnych profesorów.

K. K.: Czy nie krył Pan, że był Pan wierzącą osobą?

Prof. W. L.: Działalem w związkach zawodowych, w przedwojennym ZNP ówczesnym, mam nawet złotą odznakę. Jednak jako osoba bezpartyjna nie mogłem być członkiem prezydium. Doceniali mnie, dostawałem pochwały, nagrody, dyplomy, ale członkiem prezydium nie zostałem. Jednej rzeczy nie mogę zrozumieć do dzisiaj. Mianowicie, nikt nigdy mi nawet nie zaproponował wstąpienia do partii. Kolegów i koleżanki namawiali, nachodzili, obiecywali, a mi nikt nigdy nie zaproponował. Jak byłem w '80 latach dziekanem i był akurat pierwszy sekretarz komitetu uczelnianego, partyjny, ale sensowny komunista. Powiedziałem więc do niego: „Panie doktorze, właściwie ja pracuję tyle lat na uczelni i nigdy w życiu nikt mi nie zaproponował wstąpienia do waszej partii.”. „Panie dziekanie, to może da się naprawić?”. A ja odpowiedziałem: „Teraz to już nieważne”. Ale sądzę, że wiedzieli, że jestem wierzący. Jak później poszedłem do IPN-u to znalazłem moją teczkę. Prócz donosów na mnie pisało tam „że w mieszkaniu, na ścianach, wisi dużo świętych obrazków.”. Czyli jakimś tajnym współpracownikiem, a miałem ich około ośmiu, był ktoś, kto bywał u mnie w domu. Możliwe, że to rzutowało na to. Nikt mi nigdy nie umiał odpowiedzieć na to pytanie, dlatego mi nigdy nie zaproponowali współpracy czy awansu. Miałem przyjaciela, działacza partyjnego. Starali się usunąć mnie z uczelni za przynależność do Klubu Inteligencji Katolickiej. Ale się nie dałem, bo jestem dobrej szkoły TPD-owskiej.

K. K.: A czego Pan ciekawego się dowiedział na temat samego siebie z tej teczki?

Prof. W. L.: Oni mówili, że dużo wiedzą, ale rzeczywiście to wiedzieli tylko o tych świętych obrazkach. Znalazły się też tam zapiski, że prowadzę działalność antysocjalistyczną, ale bez

konkretów. Chodziło o to, że należałem do duszpasterstwa, w pierw u jezuitów, potem u Sługi Bożego, księdza Ziemkiewicza. Byłem dość aktywnym człowiekiem. Wszystko, co robiłem, robiłem w ramach prawa. Zostałem wysłany na zamknięte, czyli zakonspirowane rekolekcje dla aktywu studenckiego w Starych Bogaczowicach, w domu zakonnym. Jednym z wykładowców był świeżo mianowany biskup, Karol Wojtyła. 28 września był konsekrowany, a u nas był 2 października. Sympatyczny człowiek. Gdy po wykładach wracaliśmy grupkami do Szczawna, ja sam szedłem, to minęły nas dwie ciężarówki i jeden łaźnik milicyjny, które jechały po nas, ale się spóźniły. Kiedy wpadli tam do sióstr to padło pytanie: „Gdzie jest ta młodzież, co nielegalnie się tutaj spotyka?!”. „Jaka młodzież? Proszę panów, tutaj nie ma żadnej młodzieży. Proszę sprawdzić.”. Pan Bóg nad nami czuwał, bo wyszliśmy 2 godziny wcześniej. Gdyby nas złapali, to by pewnie jakieś paragrafy na nas znaleźli. Nie uważaliśmy, że robimy cokolwiek złego, to były rekolekcje. Myśmy chodzili na studia 2 razy w tygodniu i w niedzielę, na KIN - Katolicki Instytut Naukowy. Nie wiedzieliśmy jednak, że w międzyczasie go władze zdelegalizowały. Nam to jednak nie przyszło do głowy. Dopiero w '59 w lutym, UB zrobiło najazd, kiedy akurat mnie nie było. Koleżanka była i później opowiadała, że legitymowali wszystkich, zaplombowali sale i archiwum i bibliotekę wywieźli. Wtedy zrozumieliśmy, że to nielegalne. A tam normalnie była biblistyka, liturgia.

K. K.: Czy wszyscy należący do partii byli ateistami? Czy w ogóle nie korzystali z sakramentów?

Prof. W. L.: Ależ skąd, zdarzały się takie absurdałne sytuacje, że sekretarz powiatowy PZPR jeździł do swoich dziadków, pod Rzeszów, dzieci chrzcic.

K. K.: Czy to, że Pana syn wstąpił do seminarium miało jakiś wpływ na Pana życie lub Pana rodziny?

Prof. W. L.: Nie. Jak syn wstąpił do seminarium to byłem już, delikatnie mówiąc, dosyć mocny, byłem już dziekanem, miałem już wyrobioną opinię. Pamiętam jak kiedyś jadłem w stołówce razem z tym sekretarzem i przyszło moje dziecko w sutannie, i przysiadło się do nas. Sądzę jednak, że on i tak o tym wiedział. Także to było już za późno. W stanie wojennym też mnie nie zamknęli, co uważam za dziwne. Jednak jako uczeń dobrej szkoły TPD-owskiej wiedziałem, że nie należy za bardzo wrzeszczeć. Miałem takich kolegów, co głośno nawoływali do „bicia komunistów”. Takie wrzaski nic nie dawały, a mogły doprowadzić do internowania. Ja robiłem swoje. Poza tym ja nie miałem wrogów, w ogóle. Może nie miałem do wszystkich zaufania, ale z każdym starałem się żyć w zgodzie. Zresztą jako dziekan miałem dużo innych problemów. Między innymi chcieli mi zamknąć wydział.

K. K.: Kończąc już, chciałbym by Pan się odniósł do wręcz kultowych i nostalgicznych słów: „Za komuny było lepiej.”.

Prof. W. L.: Może byli tacy, którym było lepiej. Jeżeli był górnikiem, z karta górnika, to mógł otrzymywać na kartki lodówki, czy pralki, które później sprzedawali. Ja nie powiem, że było lepiej.

K. K.: Nie mam już więcej pytań. Dziękuję Panu bardzo za wywiad oraz cały poświęcony mi czas.